

Agata Widzowska

KALAFIORNIA





Agata Widzowska

KALAFIORNIA

Autor

Agata Widzowska

Ilustracje i projekt okładki

Paulina Płuciennik

Redakcja

Dominika Wilk
Lidia Miś-Nowak

Korekta

Brygida Grzesik

Skład i opracowanie graficzne

Anna Brodziak

© Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

ISBN 978-83-68304-15-2

Rzeszów 2026, wydanie I

Druk: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

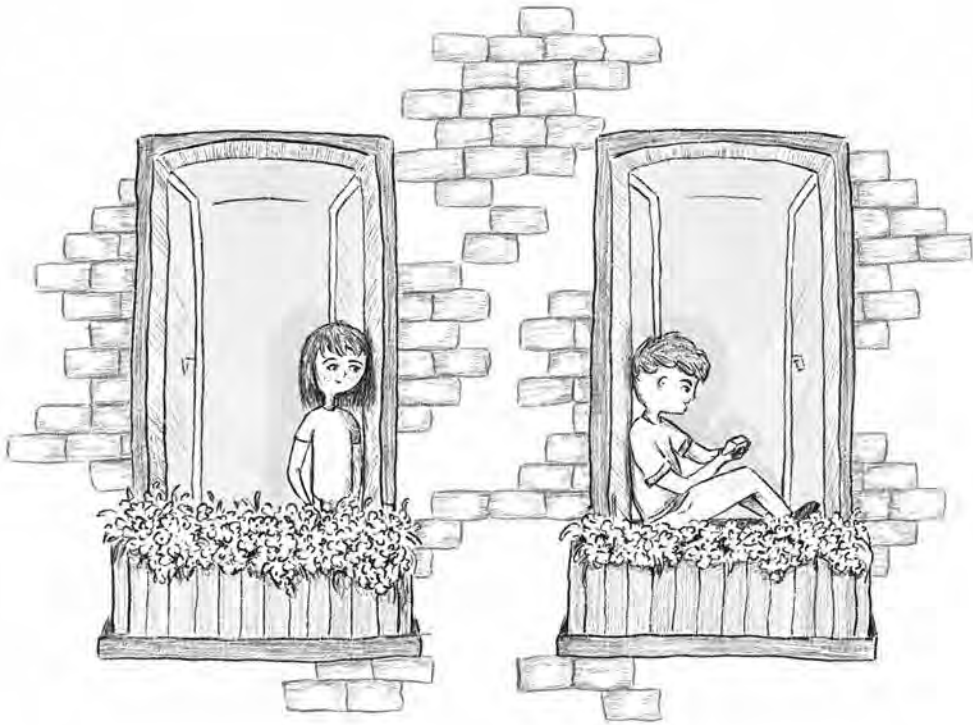


Ilustrowała **Paulina Płuciennik**



W pewnym miasteczku na Dolnym Śląsku, niedaleko rynku, przy ulicy Zwykłej 4, stała dwupiętrowa kamienica. Na podwórko wchodziło się przez wielką bramę, która pamiętała historię sprzed stu pięćdziesięciu lat. Brama przypominała ciężkie wrota królewskiego zamku i skrzypieniem zapraszała przybyszów do środka. Każdy z mieszkańców kamienicy był indywidualnością, miał ulubione zwyczaje, zainteresowania i tradycje, a wspólne spędzanie czasu z sąsiadami ograniczało się do zabawy sylwestrowej w remizie strażackiej. Wszyscy się znali z widzenia, ale prawie nic o sobie nie wiedzieli. Szkolne przyjaźnie kończyły się razem z lekcyjnym dzwonkiem, a wtedy każde dziecko wracało do domu, żeby zjeść obiad i spędzić czas ze swoim najlepszym przyjacielem – komputerem.

Zoja skończyła niedawno jedenaście lat i mieszkała pod numerem 8 razem z rodzicami i starszym o sześć lat bratem, Kacprem. Tuż obok, na sąsiednich drzwiach, błyszczła złota siódemka i tylko Zoja wiedziała, dlaczego



na widok tej cyfry czuje przyspieszone bicie serca. Mieszkał tam piętnastoletni chłopiec o najpiękniejszych brązowych oczach, jakie Zoja kiedykolwiek widziała. W myślach nadała mu imię Fito, co w języku ludzi zamieszkujących Madagaskar oznaczało liczbę siedem.

Każdego ranka dziewczynka marzyła o tym, żeby spotkać Fito na schodach lub przy bramie, powiedzieć mu z uśmiechem zwykle „cześć” i zobaczyć, co się wtedy wydarzy... Parę razy natknęła się na niego w pobliżu kamienicy, ale omijał ją wzrokiem. Zawsze miał w ręku aparat fotograficzny i fotografował różne dziwne rzeczy: gołębie na dachu, kratkę ściekową na ulicy, ślimaki, które zgubiły

drogę i utknęły w opakowaniach po jogurcie, rozsypanych przy śmietniku. Ona, dziewczynka, widocznie nie była ciekawym obiektem do uwiecznienia na zdjęciach. Ale jak to możliwe, żeby wolał szare gołębie niż Zoję, dziewczynę o fascynujących piegach? „Ha! On nawet nie przypuszcza, jaka jestem fajna!” – myślała Zoja, strojąc przed lustrem rozmaite miny.



Brama kamienicy często zostawała w połowie otwarta, bo nikomu nie chciało się popychać ciężkiego skrzydła drzwi. Z tego powodu Pan Dziewiątka z drugiego piętra bardzo się denerwował i przynajmniej raz w miesiącu karetka pogotowia zabierała go do szpitala. Zoja wcale się temu nie dziwiła, ponieważ był on człowiekiem o wielkiej tuszy, a wiadomo, że w takim przypadku serce nie nadąza z pompowaniem krwi i zmienia układ krążenia w nieprzewidywalną rzekę pełną przeszkód, tam, zatorów i dzikich rozlewisk. Pan Dziewiątka nigdy nie wychodził z domu, bo nie dałby rady zejść po schodach. Jedzenie dostarczał mu kurier, a raz w tygodniu odwiedzała go pielęgniarka środowiskowa. Stale przesiadywał przy oknie i obserwował ulicę lub podwórko. Często przylatywał do niego miejscowy gołąb, którego Pan Dziewiątka dokarmiał resztkami ze swojego talerza i brody. Ten sąsiad zawsze uchylał drzwi, kiedy Zoja wychodziła z domu z deskorolką pod pachą, i mówił:

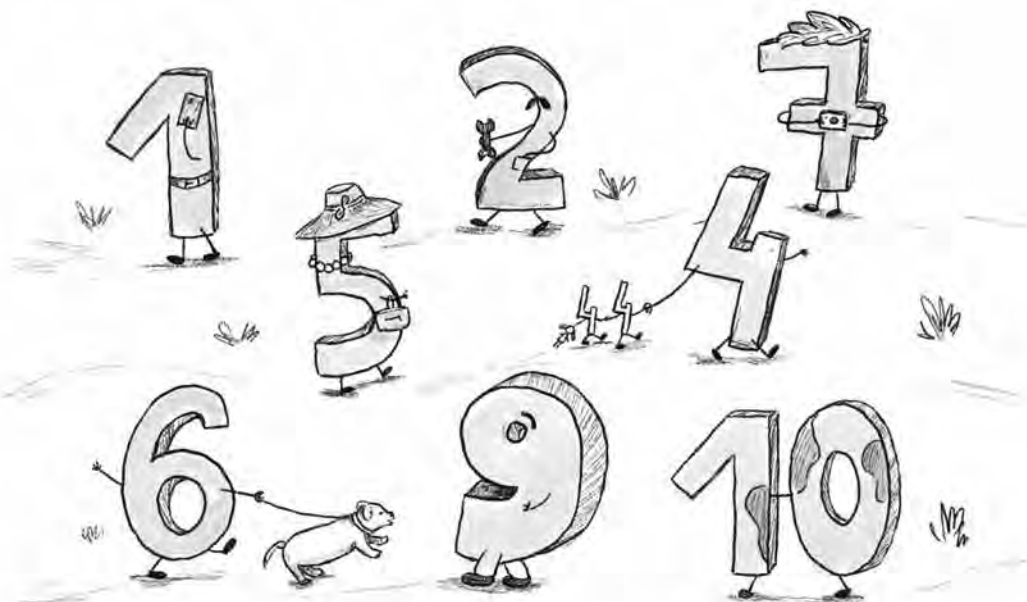
– Połamania nóg!

Przez dłuższy czas dziewczynka była tym oburzona, ale Kacper wyjaśnił jej, że to znaczy życzyć komuś powodzenia.

– Podobnie jest z maturzystami, którym życzy się połamania piór. Nie słyszałaś? – zapytał.

– Słyszałam – odpowiedziała Zoja, jednak w skrytości ducha stwierdziła, że jeszcze nikomu ze złamaną nogą nie udało się zrobić dobrego flipu na desce. Jej zdaniem Pan Dziewiątka powinien mówić: „Super skoków!”

Pozostali mieszkańcy kamienicy również byli charakterystyczni. Każdy z nich nadawałby się na bohatera książki lub filmu fabularnego. Zoja uwielbiała obserwować swoich sąsiadów, a ponieważ nie знаła ich imion ani nazwisk, określała ich za pomocą numeru mieszkania.



Pan i Pani Jedyńkowie z parteru wychodzili do pracy o siódmej rano, całowali się na do widzenia i wsiadali do samochodów, a potem każdy ruszał w inną stronę. Oboje wracali do domu około godziny dwudziestej i zamawiali kolację z dowozem, najczęściej pizzę z Pizzerii Pychota albo chińszczyznę, którą dostarczał im chłopak na rowerze. Zoja zaobserwowała, że od pewnego czasu przeszli na dietę pudełkową, a to znaczyło, że obcy ludzie decydowali, co Pan i Pani Jedyńka będą jeść przez cały dzień. Zoja rozmyślała o tym i stwierdziła, że nie mogłaby zjeść na przykład kotleta z ryżem, gdyby akurat miała ochotę na spaghetti. Może niektórzy ludzie nawet nie wiedzą, na co mają ochotę, albo wszystko im smakuje? Na pewno byli tak zmęczeni pracą, że nie mieli siły na gotowanie.

Pod numerem 2 mieszkał dozorca, który zimą odśnieżał ulicę przed domem, a w ciągu roku naprawiał, co tylko się dało. Był prawdziwą złotą rączką, a raz nawet naprawił rozklekotaną hulajnogę Zoi.



Mieszkanie z numerem 3 stało puste i czasem ktoś je wynajmował, ale na krótko.

Państwo Czwórkowie, mieszkający pod numerem 4, mieli dwoje rozbrykanych dzieci, które uwielbiały pluć pestkami wiśni ze swojego balkonu. Z ich mieszkania często dochodziły takie dialogi:

– Mamooo, ona mi zburzyła wieżę!

– Kochanie, nie wolno tak robić. Twój brat buduje zamek. Tu masz swoje klocki.

– Ja chcę to!

– To moje!

– Ja sama! Bam!

– Mamooo!

W takich momentach z mieszkania obok wydobywał się piskliwy głos sąsiadki:

– Co tam się dzieje? Proszę o ciszę, bo kwiaty mi więdną!

Tak krzyczała Pani Piątka. Była niemłoda, elegancką kobietą, która uwielbiała muzykę, śpiew i książki i często nosiła kolorowe kapelusze. Podobno była słynną śpiewaczką operową i dawniej podróżowała po całym świecie.

Pan Szóstka mieszkał razem z dużym psem i wyglądało na to, że nie bardzo lubi ludzi. Choć jego pies, Taran, był miły i wesoły, jego opiekun warczał pod nosem na widok sąsiadów i nigdy nie odpowiadał na powitania



typu „dzień dobry” lub „co słyhać, sąsiedzie?”. Za to ciągle szukał dziury w całym, a to znaczyło, że potrafił z czegoś niewielkiego zrobić ogromną aferę. Nikt w kamienicy go nie lubił, no, może tylko jego własny pies.

Najciekawszym mieszkańcem kamienicy był według Zoi Pan Dziesiątka. Prowadził artystyczne życie, a spod jego drzwi ulatniał się zapach farb olejnych i żywicy, takiej jak ta, którą Zoja czasem wydlubywała latem spod kory iglastych drzew. Tylko jeden raz miała okazję zobaczyć pracownię artysty malarza, która znajdowała się na strychu kamienicy. Zawsze kiedy Pan Dziesiątka malował, z jego mieszkania wydobywał się donośny głos:

*Zielono mi, błękitno mi,
kiedy maluję na płótnach sny.
W pracowni twórczy bałagan mam,
a kto go sprzątnie? Chyba ja sam...*

Zoja odwiedziła pracownię, kiedy zaniósła malarzowi list dostarczony omyłkowo pod zły adres. Od tamtej pory wiedziała jedno: Pan Dziesiątka ma prawdziwy talent. Wprawdzie postaci, które malował, były dziwaczne, ale klimat jego obrazów sprawiał, że ludzie czuli się jak w baśni.



Na płótnach galopowały konie z sześcioma nogami, drzewa miały twarze, a jelenie zrywały gwiazdy i wrzucały je do plecionych koszyków. Kiedy Zoja zapytała malarza, dlaczego maluje rzeczy, które nie istnieją w rzeczywistości, on tylko się uśmiechnął, a potem stwierdził: „Jestem surrealistą”. Zoja jak zwykle chciała zapytać Kacpra o to dziwne słowo, ale ostatecznie sama sięgnęła po „Słownik wyrazów obcych”, który rodzice często wykorzystywali przy rozwiązywaniu krzyżówek. I tam przeczytała definicję.

Surrealizm to kierunek artystyczny w literaturze, sztukach plastycznych i filmie, powstały ok. 1920 r. we Francji, dążący do uniezależnienia wyobraźni artysty od reguł logicznego myślenia i wszelkich norm estetycznych i moralnych, posługujący się absurdalnym żartem, parodią i groteską.

To wszystko bardzo pasowało do Pana Dziesiątki, bo wyobraźnię miał rozległą jak droga z Ziemi na Marsa. Jednak nie tak dużą, jak wyobraźnia jedenastoletniej dziewczynki.

Na parterze, jakby przyklejony do kamienicy, znajdował się stary sklep obuwniczy o nazwie Kalosz & Trep. Niestety, po śmierci właścicieli pozostał pusty, a ponieważ nie był przystosowany do zamieszkania, powoli zaczynał straszyc zakurzonymi szybami i farbą odpadającą z okiennych ram. Jednym słowem straszyl.

Pewnego dnia mieszkańcy kamienicy przekazali sobie nowinę.

– Słyszeliście? Obok nas otwierają restaurację.

– Co takiego? – zawołała oburzona Pani Piątka. – Będą nam tu smrodzić pod nosem smażoną cebulą? Od tego zawsze szczypie mnie gardło.

– Bądźmy dobrej myśli.

– Z dwojga złego wolałabym sklep obuwniczy. Najlepiej z włoskimi butami.

– Może trafimy na dobrego kucharza – powiedział dozorca, zmęczony narzekaniem sąsiadki.

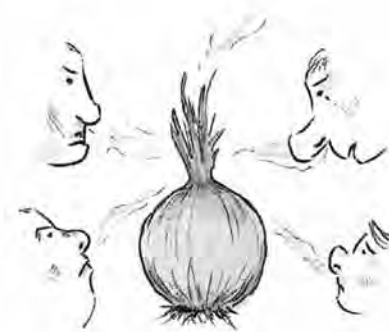
– Na pewno nie potrafi przyrządzić grzybowego *crème brûlée*, jaki jadłam w Paryżu! – odparła śpiewaczka.

– Nie wiadomo, jaka to będzie kuchnia. Może lepsza niż we Francji – stwierdził dozorca i szybko poszedł naprawiać samochód.

Wspomniana Pani Piątka mieszkała na pierwszym piętrze kamienicy i oprócz wielu kapeluszy posiadała najbardziej ukwiecony balkon. Za każdym razem, gdy podlewała pelargonie, słyhać było jej donośny śpiew:

*Czerwone róże, bratki błękitne,
raz was podleję, a czasem przytnę,
wszystkie rośliny śmieją się do mnie,
a najpiękniejsze są pelargonie...*

Czas płynął. Pod koniec maja rozpoczął się remont restauracji, a hałas samochodów dostawczych i wiertarek



oraz zapach farby do malowania ścian dawały się wszystkim we znaki. Trudno było się poruszać po chodniku, bo znaczną jego część zajmowały rusztowania. Pewnego razu, gdy Pani Piątka podlewała swoje ukochane kwiaty, konewka wysunęła jej się z ręki i spadła prosto na głowę jednego z robotników, który przechodził pod jej balkonem. Łups! Na szczęście konewka była już pusta i niewielkich rozmiarów, ale i tak dało się słyszeć głuchy brzdęk i narzekanie.

– Jasny gwint!

– Co jest? – zapytał męski głos.

– Dlaczego mnie uderzyłeś?

– Ja?

– Nie ma tu nikogo innego!

– Nic nie zrobiłem.

– Obejrzyj moją łysinę. Czuję, jak mnie piecze!

– Pokaż.

Gdy robotnik oglądał głowę poszkodowanego kolegi, z balkonu pierwszego piętra powoli zniżał się przymocowany do sznurka koszyk.

